KATARZYNA RYRYCH

WILCZEK

ILUSTROWAŁA
SYLWIA SZYRSZEŃ

LITERATURA

Katarzyna Ryrych
Wilczek

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Sylwia Szyrszeń

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I
ISBN 978-83-7672-547-5

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

Żółte, plastikowe krzesełko, na którym siedziałem w świetlicy, było twarde, zimne i niewygodne.

Zegar na ścianie wskazywał dziewiątą, ale ekran telewizora śnieżył, zamiast powitać mnie jak co niedziela wesołą melodią.

Prawda, telewizor w akademiku psuł się bardzo często, ale nie dalej jak dwa dni temu jeden z wujków wymienił jakieś lampy i wszystkie ciocie mogły obejrzeć ulubiony serial.

Ale był trzynasty, a tego dnia, jak wiadomo, mogło wydarzyć się wszystko.

– Mamo! – zawołałem.

Ale mama była w kuchni na drugim końcu korytarza, zajęta gotowaniem kakao.

I z pewnością zagadała się z jakąś ciocią.

Ostatnio mama i tata byli bardzo zajęci. Wychodzili gdzieś wieczorami, zostawiając mnie pod opieką którejś z cioć i wracali, kiedy już spałem.

W pokoju pojawiały się tajemnicze paczki zapakowane w szary papier, nad którymi unosił się zapach farby drukarskiej. Ale nikt nie chciał mi powiedzieć, co było w środku.

Pewnego dnia oddarłem kawałek szarego papieru i wsunąłem tam palec. Natrafił na luźne kartki, ale nie sposób było wyciągnąć choćby jednej z nich.

Na dodatek tata bardzo się zdenerwował na widok dziury i trochę mnie skrzyczał.

– Mamo! – powtórzyłem i tej samej chwili ekran telewizora zafalował. Rozległa się bardzo poważna muzyka, a moim oczom ukazał się nieznajomy pan w okularach.

– Obywatele i obywatelki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Coś upadło na podłogę i rozbiło się na kawałki.

– Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego…

Obejrzałem się.

– Mój kubek!

Plama kakao pod nogami mamy powiększała się.

Mój ukochany żółty kubek z niebieskim słoniem leżał rozbity na podłodze.

Palce mamy zacisnęły się na moim ramieniu.

Korytarz wypełnił się głosami mieszkańców i po chwili świetlica pełna była wujków i cioć, wszystkich, których znałem i codziennie spotykałem, bawiąc się z innymi dzieciakami.

– Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń wzniesiony z popiołów, ulega ruinie…

Rozejrzałem się po świetlicy. Wszyscy wydali mi się dziwnie obcy. Nikt nie żartował, nawet się nie uśmiechnął, wszyscy tylko patrzyli na pana w okularach.

To musi być ktoś bardzo ważny – pomyślałem i pociągnąłem mamę za spódnicę. Ale nie zareagowała, jakby w ogóle nie poczuła.

– Strajki, akcje protestacyjne…

„Strajk” – to słowo znałem doskonale. Oznaczało poranny spacer i wspaniałą zabawę.

„Idziemy na strajk”, mówił tata, owijając mi szyję kolorowym szalikiem. A potem przechodziliśmy przez

ośnieżony park, gdzie staczaliśmy krótką bitwę na śnieżki.

Spacer kończył się w ogromnym, ponurym gmachu, którego wejścia pilnowały dwa gigantyczne posągi – hutnik w skórzanym fartuchu i górnik z kilofem.

Właśnie tu od roku pracował tata, a kiedy rozpoczęło się to, co nazywano „strajkiem", razem ze swoimi studentami, od których tak naprawdę niewiele się różnił, układał jakieś papiery, pisał na maszynie i wychodził na miasto, pozostawiając mnie pod opieką nowych cioć i wujków. Ci zawsze znajdowali dla mnie kolorowe kredki, którymi rysowałem na poniewierających się po podłodze kartkach.

A rysowałem to, co widziałem wokół siebie. Brodatych wujków, ciocie robiące kanapki. Wszystkim się to bardzo podobało.

Myślę, że też lubili zabawę w strajk.

– Głuptasie – powiedziała pewnego dnia mama. – Strajk to nie zabawa.

– A co to jest? – zapytałem.

– To forma protestu – uprzedziła ją ciocia, pakując do torebki niewielkie kartki, które nazywała ulotkami.

– Jeżeli coś ci się nie podoba – wyjaśniła mama – masz prawo to powiedzieć. Pokazać. Protestować.

– Zawalczyć o to – mruknął tata.

Wieczorem urządziłem strajk. Rozsypałem na podłodze stos kartek, postawiłem na nich maminą maszynę

do pisania i zacząłem walić w klawisze tak głośno, że ciocia z sąsiedniego pokoju wsunęła głowę przez uchylone drzwi i zapytała, co się dzieje.

Ale nie domyśliła się, że to strajk.

– Wiktor – jęknął tata. – Na miłość boską! Musisz tak hałasować?

– Telewizja łże jak pies – oświadczyłem.

To zdanie słyszałem najczęściej w niewielkim, zadymionym pokoiku, gdzie leżały sterty paczek owiniętych w szary papier, bliźniaczo podobnych do tej, której zawartość zbadałem przez dziurę w opakowaniu.

Tata podniósł wzrok znad książki.

– To prawda – powiedział – ale skąd ci to przyszło do głowy?

– A tak – odpowiedziałem. – I co to znaczy „łże”?

– Kłamie – uściśliła mama.

– Czemu jak pies?

– Zwariuję przez tego smarkacza – jęknął tata.

– Dlaczego psy kłamią? – ciągnąłem.

– Tak się mówi – ucięła mama.

– Ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Nigdy nie wiadomo, jak pies zareaguje. – Tata wstał z wersalki i zaczął trochę nerwowo spacerować po pokoju. – Wydaje ci się, że jest przyjazny, bo macha ogonem, ale kiedy wyciągniesz rękę, może cię ugryźć.

Bzdura – pomyślałem. Ogromny pies dziadka nigdy nawet na mnie nie zawarczał. A robiłem mu coś, co

niekoniecznie musiało mu się podobać. Bo czy próba zmierzenia długości psiego języka przy pomocy linijki może być przyjemna? Albo zaglądanie do uszu?

Tata łże jak… tata – pomyślałem, wepchnąłem cały strajk pod łóżko i poszedłem do łazienki. Żeby tam dotrzeć, musiałem przejść przez długi korytarz z szeregiem drzwi, za którymi mieszkały ciocie i wujkowie.

Słyszałem, jak rozmawiają, słuchają muzyki, a ktoś nawet grał na gitarze.

Drzwi były lekko uchylone, więc nieśmiało zajrzałem do środka.

– *Obława, obława, na młode wilki obława* – śpiewała, akompaniując sobie na gitarze, ciocia.

A siedzący na podłodze wujek uśmiechnął się na mój widok i powiedział:

– Serwus, Wilczku.

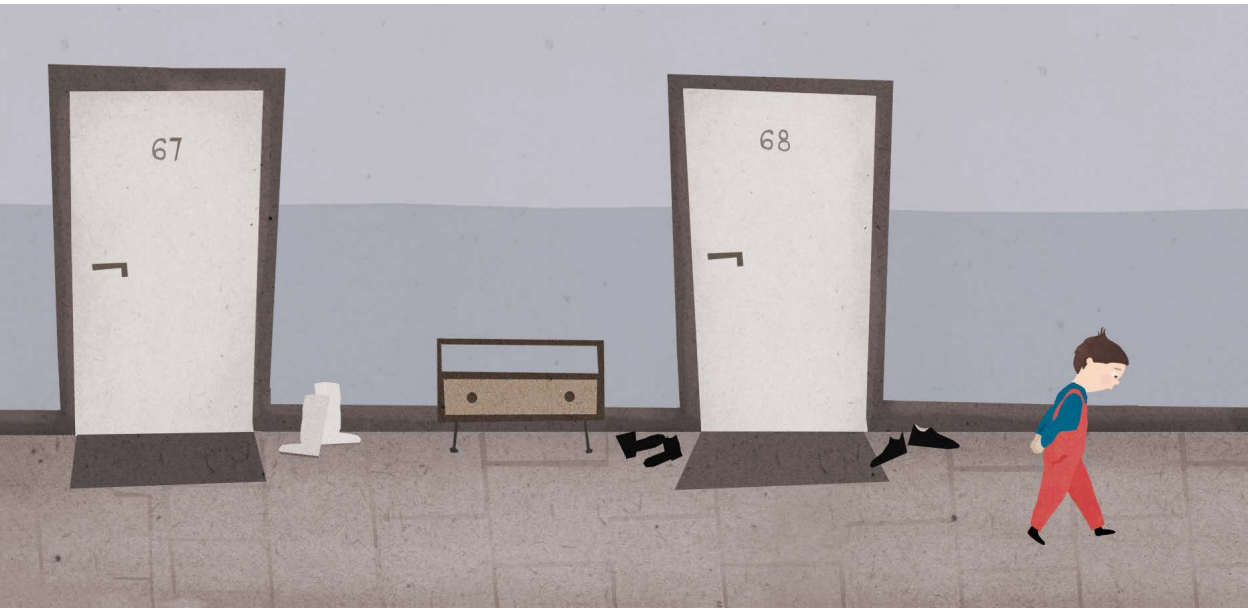

Zjadłem cukierka, który wyczarował z kieszeni kraciastej koszuli, i pobiegłem tam, gdzie chciałem, bo bardzo mi się chciało siku.

Wracając, zatrzymałem się pod drzwiami cukierkowego wujka, ale nikt już nie grał i nie śpiewał.

– Zrobiliśmy wszystko, aby zatrzymać spiralę kryzysu. Historia oceni nasze działania – ciągnął pan w ciemnych okularach, a w świetlicy nadal wszyscy stali w milczeniu, słuchając jego słów. – Awanturnikom trzeba skrępować ręce…

To akurat mnie zdenerwowało. „Przestań się awanturować”, mówiła mama, kiedy stanowczo zaprotestowałem przeciwko przedszkolu. Tu, w domu akademickim, było naprawdę fajnie i wcale nie miałem ochoty nosić znaczka z grzybkiem albo biedronką, spać po obiedzie i maszerować na spacery za rękę z głupim Jackiem.

– Protestuję! – zawołałem i wszyscy spojrzeli na mnie. Ale jakoś inaczej. Nie tak jak dorośli patrzą na wrzeszczące dziecko.

– Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność.

Ciocie i wujkowie przyglądali się moim rodzicom, a od tych spojrzeń tata zrobił się jakby większy.

– Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego… wprowadziła dziś o północy stan wojenny…

Ekran telewizora nagle zamigotał i zgasł.

– To jakieś żarty – powiedział ktoś za moimi plecami.

– No to mamy wojnę – rzucił ktoś inny.

Poczułem, jak po plecach przebiega mi dreszcz.

Wojna. Kiedy odwiedzaliśmy dziadka, zawsze prosiłem go, aby pokazał mi swój mundur. Nie ten nowy, jakby wyszedł dopiero co spod igły, ale ten stary, z brunatnymi plamami i poszarpanym rękawem mundurowej kurtki. Mundur, który przebył razem z dziadkiem długą drogę.

Dziadek na początku zawsze trochę się ociągał, ale później otwierał szafę, wyjmował z niej płócienny worek i starannie układał na kanapie jego zawartość.

A potem siadał w fotelu, sadzał mnie sobie na kolanach i rozpoczynał opowieść. Znałem ją prawie na

pamięć, ale za każdym razem była tak samo ciekawa, szczególnie kiedy opowiadał o niedźwiedziu, który nosił skrzynki z amunicją i za to wszystko dostawał żołd jak prawdziwy żołnierz.

– Wojna wcale nie jest taka miła – przerywała mu babcia. – To nie przygoda.

Babcia miała na ręce niebieski numer i zawsze zastanawiałem się po co. Może potajemnie grała w totolotka i zapisywała numery, aby ich nie zapomnieć?

– Babciu… – zapytałem pewnego dnia, wskazując na jej rękę – co to jest?

– To jest zupełnie inna historia – powiedziała babcia. – Byłam w obozie, Wiktorku.

Co takiego niemiłego mogło spotkać ją na obozie? Odkąd pamiętam, tata zabierał nas latem na obóz żeglarski i zawsze było bardzo miło. W dzień żeglowaliśmy po jeziorach, a wieczorem wracaliśmy do obozowiska zwanego „stanicą", paliliśmy ogniska i śpiewaliśmy marynarskie pieśni.

Najwidoczniej babcia nie miała tyle szczęścia, co ja.

– Wojna to straszna rzecz – wyjaśniła mi pewnego wieczoru mama.

I właśnie ta straszna rzecz nadeszła, o czym poinformował nas obcy pan w okularach.

– Ty. – Karol, syn jednej z cioć, który już chodził do szkoły, trącił mnie w plecy. – Będzie wojna. Słyszałeś?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dlaczego ciocie i wujkowie milczą? A Karol się cieszy, jakby było z czego.

– Oglądałeś *Pancernych*? – zapytał.

Oczywiście. Kto z nas, dzieci, nie znał przygód czwórki dzielnych żołnierzy i mądrego psa?

– Wik. – Mama położyła mi rękę na ramieniu. Miała na sobie kożuszek i czapkę. – Idziemy do dziadka.

Do dziadka! Kto jak kto, ale dziadek znał się na wojnie i z pewnością będzie wiedział, co zrobić, aby ją wygrać – pomyślałem. Bo o wojnie wiedziałem tyle, że zawsze walczyło się z wrogiem i że należało tego wroga pokonać, aby ją wygrać.

– Potem pogadamy – rzuciłem do Karola, bo mama już wzięła mnie za rękę.

– Ala! – zawołała ciocia, która mieszkała za ścianą. – Dokąd się wybieracie?

– Zaprowadzę Wika do taty – odpowiedziała mama. – Tam będzie bezpieczny.

Bezpieczny? Czyli że groziło nam niebezpieczeństwo.

– Nie chcę – powiedziałem.

– Co powiedziałeś?

– Nie chcę – powtórzyłem. – Nie chcę, żeby była wojna.

– Wiem – odpowiedziała mama.

Zostawiliśmy ciocie i wujków w świetlicy i zeszliśmy na dół.

– Gdzie jest tata? – zapytałem, bo nawet nie zauważyłem, kiedy i gdzie zniknął.

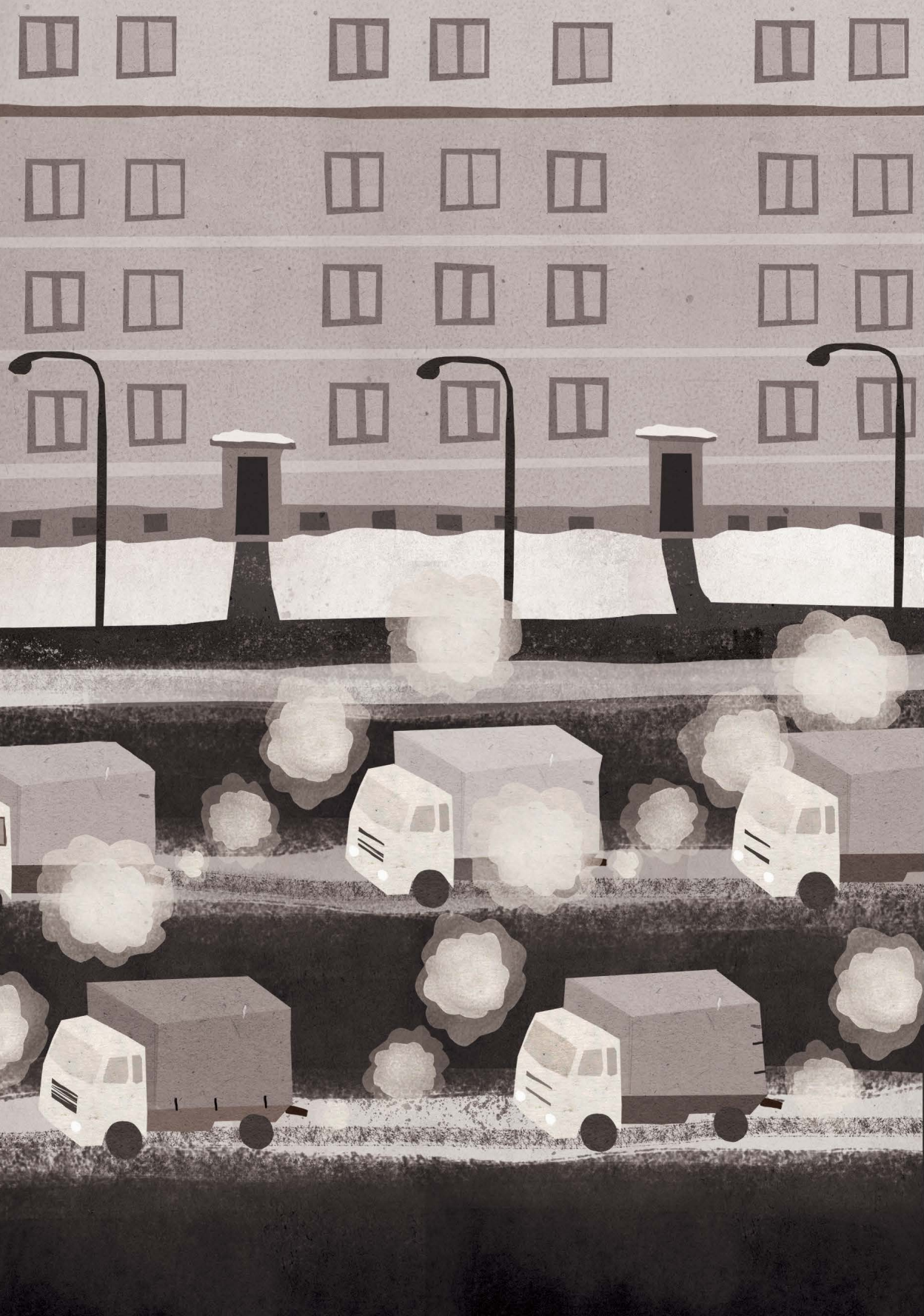

– Poszedł na strajk – odpowiedziała mama. – Spotkamy się u dziadka.

– A kto jest wrogiem? – zapytałem.

– Wrogiem? – zdziwiła się.

– Bo jak jest wojna, to musi być wróg, prawda?

Mama zatrzymała się na chodniku. Już otwierała usta, aby coś powiedzieć, kiedy usłyszałem dziwny hałas.

Ulicą jedna za drugą jechał rząd ciężarówek. Wszystkie były w jednym kolorze i nie sposób było zobaczyć, co lub kogo wiozły.

– Jeden, dwa, trzy… trzynaście… – liczyła półgłosem mama.

Ciężarówki bezgłośnie sunęły w śniegu. Pozostał po nich zapach benzyny i obłok spalin stygnący w mroźnym powietrzu.

– Wracamy. – Mama chwyciła mnie za rękę i pobiegliśmy chodnikiem w stronę domu. Warkot silników cichnął w oddali i kiedy pchnęła ciężkie, przeszklone drzwi, na ulicy było już zupełnie pusto.

W domu wrzało.

Nie byłem w stanie zrozumieć, o czym rozmawiali, ale wyłowiłem jedno słowo. Wrona. Albo wron.

Nie mogłem sobie wyobrazić Wrona. Wrony znałem dobrze – brodziły w śniegu, kiedy razem z tatą szliśmy przez park na strajk. Ich krakanie unosiło się w powietrzu, krótkie, ostre… jak echo strzałów. Ale nigdy dotąd nie widziałem żadnego Wrona.